

Minął Adwent — czas wesel zakazanych

Przysięgam iż Cię nie opuszczę aż do śmierci...

## 31 par małżeńskich jednego dnia w jednej parafji Od ołtarza nikt nie zemknął

Drugi dzień minionych świąt był

pierwszym po Adwencie, kiedy przepisy religijne zabraniają zawierania

związków małżeńskich.

Wiele mniej lub więcej dobranych par narzeczeńskich z niecierpliwością

oczekiwało poadwentowej niedzieli. Sądzić o tem można

z niezwyklej ilości małżeństw, zawartych w tym pierwszym dozwolonym dniu.

Trudno było w kilkunastu godzinach zdobyć

cyfry i opinie ze wszystkich

26 parafji warszawskich. Poprzestajemy zatem na 4.

W dużej parafji św. Aleksandra zawarto w niedzielę niezwykłą ilość, bo

31 ślubów.

Jak nas informuje uprzejmie sekretarz parafji

p. Roman Rokicki, ludzie mimo ciężkich czasów dość chętnie zawierają śluby.

— Im biedniejsza parafja — mówi p. Rokicki —

tam więcej ślubów.

Wśród naszych 31 par nowożeńców najstarszą byli

40-letni p. Andrzej Tokarz i 39-letnia bona p. Felicja Tomaszewska.

Najmłodsza parę tworzyli 20-letni fryzjer p. Tadeusz Kamiński i 18-letnia p. Julianna Górecka.

Wszystkie zapowiedziane śluby doszły do skutku, żaden oblubieniec ani oblubienica, nie cofnęli się

w ostatniej chwili od ołtarza.

Ks. Stefan Boguski, proboszcz parafji Matki Bożej przy ul. Białoleckiej, tak opowiada nam o ślubach swoich parafjan:

— W mojej

czysto robotniczej

owczarni ciężkie bardzo są warunki życia.

Trudno o zarobek,

trudno o mieszkanie i pracę.

Te warunki wpływają na ilość ślubów. Miałem ich

8 w pierwszy dzień

po Adwencie.

Dawniej w karnawale miałem 10 wesel na 1000

mieszkańców, — dziś wypadnie

raptem 5.

Ludziska gnieźdzą się w dwie do trzech rodzin

w jednym mieszkanku.

Młode żony rozkładać muszą ogniska domowe

tam, gdzie

plonie ich już kilka.

Może dlatego

do ołtarza stają

przeważnie

młodzież w wieku od 18 — 27

lat.

Z parafji św. Barbary, przy ul. Nowogrodzkiej dowiadujemy się, że w ubiegłą niedzielę

zawarto tam

aż 14 ślubów.

Najmłodsze —

panna młoda ma 16 lat, pan młody zaś 18.

Dużą ilość małżeństw w drugi dzień Bożego Narodzenia tłumaczyć należy tem, że ludzie

ze względów oszczędnościowych,

chętnie łączyli

uroczystości weselne

z dniem wielkiego święta.

Znacznie taniej to wypadła.

Na alarm! Trzeba uderzyć w wielki dzwon

## NĘDZA I NIEDOSTATEK

Zapukały do najpotrzebniejszego teatru

Moglibyśmy jeść codziennie obiad, i dokonać wielu, wielu rzeczy —

mówi dyr. Fiszer

Sobota wieczór. Przed okienkiem kasowym ogonek. Robotnik, stróż, posłaniec... Gdzieś

niedzień mundur żołnierski. Sporo młodzieży... Parę osób z

inteligencji... Wpłacają po 50 groszy, po złotemu, nie-

którzy po dwa...

Kurtyna idzie do góry... Przed oczami widza rozgrywa się

wzruszający dramat miłości cygana Tumrego i Motruny... W

dramatycznych miejscach słychać na sali szloch. To ta

najwdzięczniejsza, pięćdziesięciogroszowa publiczność.

Kurtyna opada, oklaski bez końca.

Jednocześnie za kulisami, w zimnej, nieopalonej budzie

wre praca.

Dyrektor teatru im. Fredry na Śniadeckich (o nim bowiem mowa) Fiszer wraz z administratorem Merglem

obliczają kasę.

Lokal dwadzieścia procent

brutta, podatek magistracki dziesięć, na wydatki i „honoraria” (teatr jest działówką) zostaje

siedemdziesiąt procent.

Za wzięty na kredyt węgiel czterdzieści złotych, światło sto

kilkadziesiąt, maszyniści, sufler (4 złote!), pianistka, kostjumi, rekwizyty, fryzjerka, stróż itd. itd.

Pozostaje kilkadziesiąt złotych do podziału. Oto

owoc tygodniowej pracy.

Każdy z aktorów, otrzymuje po parę złotych za cały tydzień

pracy.

— „Gdyby nie te stałe ciężary — podatek magistracki i lokal, moglibyśmy jako tako istnieć” — mówi mi dyrektor Fiszer.

A gdyby się magistrat zdobył na jakąś, nieznaczną, bo tu nie

chodzi o dziesiątki tysięcy złotych, subwencję stałą. Akorzy

teatru im. Fredry mogliby

codziennie jeść obiad,

mogliby afisze drukować, mogli

wielu rzeczy by mogli dokonać ci

zapaneni pracownicy sceny!

A gdyby, to już szczyt marzeń, przywódcy robotników

chrześcijańskich, w ich bowiem lokalu mieści się teatr, zechcie

li wpływać na członków swoich organizacji, by chętniej i

liczniej chodzili do swego teatru, aktorzy mogliby grać co

dziennie, nie dwa razy na tydzień, jak teraz. Zobaczyliby wówczas

robotnik „Chatę za wsią”, przy pomniaby sobie, a może

dopiero nabrałby ochoty do przeczytania „Ogniem i Mieczem”,

poznałby „Zemstę”, „Pana Geldhaba”...

Dzieci robotnicze przez rok

cały opowiadałyby sobie, jakie śliczne bajeczki pokazywano

im na scenie.

POMALU LECZ STALE

Odejmuje nam d ożywna po kawałku  
chleba od ust

Co kupiłeś za 100 złotych  
Przed rokiem i dziś

Niepokojący bilans 12 miesięcy

za 100 zł.

w grudniu 1925 r. i dziś:

Chleb żytni w 1925 roku — 213 klg.,

w 1926 roku — 156 klg., mąka pszen-

na w 1925 — 143 klg., w 1926 — 104

klg., kasza jęczmienna w 1925 — 200

klg., w 1926 — 149 klg., fasola w

1925 — 107 klg., w 1926 — 95 klg.,

ryż w 1925 — 80 klg., w 1926 — 76

klg., ziemniaki w 1925 — 909 klg., w

1926 — 333 klg., mleko w 1925 —

222 litr., w 1926 — 193 litr., jaja w

1925 — 345 sztuk, w 1926 — 400

sztuk, masło w 1925 — 14 klg., w

1926 — 12 klg., słonina w 1925 — 35

klg., w 1926 — 25 klg., mięso wołowe

w 1925 — 52 klg., w 1926 — 40 klg.,

cukier w 1925 — 80 klg., w 1926 —

71 klg., węgiel w 1925 — 1850 klg., w

1926 — 1670 klg., mydło w 1925 — 48

klg., w 1926 — 42 klg.

Z tego zestawienia wynika, że każdy obywatel od dn. 1-go

grudnia r. 1925 do 1 grudnia r. 1926

za 100 zł. wartości z dn. 1

grudnia r. 1925 nabyłby mniej

o 57 klg. chleba żytniego wartości

zł. 36 gr. 68, 39 klg. mąki

pszennej wartości zł. 38 gr. 34,

51 klg. kaszy jęczmiennej wartości

zł. 34 gr. 17, 12 klg. fasoli

za zł. 12 gr. 60, 454 klg. ziem-

niaków za zł. 81 gr. 72, 29 li-

trów mleka za zł. 15 gr. 8, 10

klg. słoniny za zł. 39 gr. 70, 9

klg. cukru za zł. 12 gr. 60, 12

klg. mięsa wołowego za zł. 30

gr. 36, 180 klg. węgla za zł. 10

gr. 80 i 6 klg. mydła wartości

zł. 14 gr. 22.

Pomnożmy dla przykładu cy-

frę złotych wydanych więcej na

chleb przez ilość setek klg. zje-

dzzonego przez nas w tym okre-

sie chleba, a otrzymamy pełny

obraz naszego niedoboru bud-

żetowego, wytłomaczenie trud-

ności związania końca z koń-

cem. Jeśli weźmiemy przecięt-

nie na osobę dorosłą tylko trzy

czwarte klg. chleba dziennie, t.

j. rocznie na taką osobę 273 i

trzy czwarte klg., to wypadnie

nam, żeśmy od 1 grudnia r. 1925

do 1 grudnia r. b. na sam

chleb musieli wydać więcej aż

około

50 zł. na osobę...

A gdzie reszta?...

ALEKSANDER BŁĄŻEJOWSKI.

51)

## TAJEMNICA HOTELU PRZY ULICY CHMIELNEJ

Wieczorem byłem w „Białym Pawiu”, aby bliżej przypatrzeć się pięknej emigrantce. Poznanie nie było trudne. Do obowiązków pani Kalinowej należało odprowadzanie kilku piosenek, a potem zabawianie przygodnych gości. Mimo, iż była przystojna i zgrabna, nie miała powodzenia. Głos miała słaby, tańczyła źle, nie umiała pić, nie była wesoła, a w dodatku źle mówiła po polsku. Mężczyźni woleli brzydsze, a bardziej wesołe. Przedstawiłem się jej jakimś fantastycznym nazwiskiem i dodałem, że jestem obywatelem ziemskim z pod Warszawy. Uwierzyła mi. Nietrudno to było, bo mam bary i twarz chłopską. Do jednego przyznać się muszę: Wieczór spędzony w jej towarzystwie był bardzo miły. Była późna noc, gdy odwoziłem ją do hotelu przy ulicy Trębackiej. Potem spotykaliśmy się coraz częściej. Poza lokalem „Białego Pawia”, czuła się swobodniejsza i mniej przygnębiona. Niejednokrotnie skierowywałem rozmowę na jej przeżycia w Rosji Sowieckiej, — wtedy milkła i na długie godziny traciła ochotę do rozmowy. Znajomość nasza trwała już kilka tygodni, a okoliczności tak czyniły się składowe, że nie mogłem się posunąć ani o krok naprzód w zbadaniu jej stosunku do zamordowanego. Aż jednego dnia los mi bardziej

sprzyjał. Siedzieliśmy wieczorem w „Białym Pawiu”, gdy pani Wiera przeprosiła mnie na chwilę i wyszła za kulisy. Obok mnie na krześle leżał jej biały płaszcz. Przysiąłem natychmiast do badań, które dały nadszpiegowane wyniki. Przekonałem się, że włos lisa wychodzi za lada dotknięciem. Na prawej stronie kołnierza zauważyłem dość duże łyse miejsce, jakby powstałe od jednego gwałtownego skubnięcia, dalej białe sukno na prawym rękawie było skudłaczone, jakby ktoś silnie prał je szczotką. Wewnątrz płaszcza była kieszeń. Gdy przypatrzyłem się jej bacznie, spostrzegłem, że jest wypchana, jakby od noszenia ciężkiego i wielkiego przedmiotu. Niektóre miejsca przy listewce kieszeni były wyszarpane tak, jakby przedmiot, który właścicielka ukrywała w kieszeni, był nie tylko ciężki, ale i ostro zakończony. Te drobne wyszarpania były tem dziwniejsze, że płaszcz był prawie nowy. Zanim pani Wiera przyszła, zdołałem płaszcz ułożyć w tej samej pozycji, w jakiej go zostawiła.

Teraz nie miałem już żadnej wątpliwości, że pani Kalinowa była w pokoju Galkina, starałem się tylko ustalić, jaką tam mogła odegrać rolę.

Z pewnością wiadomo panom z przebiegu śledztwa, że w pokoju nie znaleziono narzędzia zbrodni. Również przez szereg miesięcy nie zgłoszono znalezienia jakiegos podejrzanego przedmiotu. Wobec tego przypuszczałem, że morderca musiał je ukryć. Jeśli Wiera Kalinowa popełniła morderstwo, to przypuszczałem, że narzędzie zbrodni musi być u niej w domu, gdyż, jak stwierdziłem, nie miała ani przyjaciół, ani znajomych w Warszawie. Wdzieranie się przemocą do jej mieszkania uważałem za bezcelowe.

Mogłem się bowiem w swoich przypuszczeniach pomylić, a wtedy straciłbym raz na zawsze możliwość wyjaśnienia sprawy. Wziąłem się więc na sposób. Odnajdę udarem, że są moje imienniny i nie mam ich z kim spędzić. Ofiarowała mi chętnie swoje towarzystwo. Płaciłem wieczorem w „Białym Pawiu” znakomity koniak. A po wykwintej kolacji zamówiłem flakon szampana. Dolewałem jej ciągle, prosiłem i zaklinałem, by piła. Pierwszych kilka kieliszków piła niechętnie, później było jej wszystko jedno. Piliśmy do świtu. Odwoziłem ją do domu zupełnie pijaną i wtedy to po raz pierwszy zdołałem się wcisnąć do jej pokoju. Przed snem zastrzyknęła sobie morfinę i to doprowadziło ją do stanu zupełnej nieprzytomności. Skorzystałem z tego i przeszukałem wszystkie jej schowki. Pełów był niezwykle obfity.

Znalazłem w dużej walizce ołbrzymi Nagan, owinięty w kawał gazety, którego kołba wprost była oblepiona krwią i włosami. Uderzeniem kolby tego Nagana został prawdopodobnie Galkin zamordowany. Pierwsze uderzenie musiało być tak silne i niespodziane, że zaraz stracił przytomność, zanim zdołał krzyknąć, kilku dalszymi uderzeniami zmiażdżono mu już cały tył głowy. Dalej na samym spodzie walizy znalazłem kilkanaście sztuk pięciodolarówek, z których kilka złanych było krwią, ale co najważniejsze między tymi dolarami duży banknot studolaryowy przerwany w połowie, którego drugą połowę zamordowany ścisnął kureczowo w ręce.

Mając takie dane bezaleń czywiście Wierę Kalinową aresztowałem. W policyi przynajmniej się do popełnienia zbrodni.

(D. c. n.).